



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: CO SIĘ KOMU W KINIE ŚNI

Wydaje się, że - mimo wszelkie utyskiwania - z repertuarem kinowym nie jest u nas źle, choć filmy wybitne czy znaczące w świecie, przychodzą nieraz z dwuletnim lub dłuższym opóźnieniem. Ten nie najgorszy w sumie - powtarzam - repertuar ginie jednak przy fatalnym najczęściej sposobie rozpowszechniania i jeszcze gorszej reklamie filmowej, co powoduje, że filmy wybitne i mogące przy odpowiednim ich zaprezentowaniu przynieść nie tylko pożytek intelektualny, ale i kasę przelatują przez ekrany niezauważone, często na rannych seansach. Są wyświetlane przez jeden lub dwa dni, i aby udało się je obejrzyć trzeba bezustannie studiować lokalny repertuar kin zmieniający się z dnia na dzień jak w kalejdoskopie.

Z drugiej strony dystrybutorzy są zaskoczeni, kiedy słynne pozycje światowego repertuaru, a czasem wręcz filmowe „hity”, po których sprowadzeniu na nasze ekrany tak wiele sobie obiecywali, nie przynoszą spodziewanej wysokiej kasy. Czy nie lepiej - myślą - z „pewniakami” średniej miary, które trafiając w niezbyt wybredne gusta części publiczności zapelniają wszak widownię? Rodzi się w ten sposób niechęć do „ryzyka” - już nie na etapie komisji zakupów, ale na poziomie kierownictwa lokalnych kin. A tymczasem, gdyby lepiej rozeznano widownię, lepiej poznano jej gusty, nie dochodziłoby do wielu rozczarowań.

Tak było na przykład z niedawno u nas wyświetlanym „New York, New York” Martina Scorsese, filmem wysokiej klasy, z gwiazdami takimi jak Robert De Niro i Lisa Minnelli, filmem „muzycznym”, po którym spodziewano się tłumów i kolejek przed kasami. A tymczasem sale kin świeciły pustkami. Młodzież, na którą tak liczone, nie dopisała. A działo się tak między innymi, dlatego, że epoka wielkich jazzowych big-bandów, do której nawiązuje „New York, New York”, jest o wiele bardziej obca współczesnej młodzieży polskiej, niż dzisiejszej młodzieży amerykańskiej. Że znajomość klasycznych jazzowych standardów, kultura jazzu w ogóle, jest w Polsce o wiele niższa niż w kraju, gdzie się jazz narodził. I że już chociażby tylko dlatego film Scorsese’a warto i trzeba było do nas sprowadzić, ale nie należało się spodziewać, że polecą na niego pół Polski.

Inaczej z „Koronczarką” szwajcarskiego reżysera Claude Goretty: trzeba było seansu Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Bariera” w studenckiej „Chatce Żaka”, żeby przekonać się

z jak ogromnym zainteresowaniem przyjęła go młodzież, dosłownie szturmująca drzwi sali kinowej, gdy zabrakło miejsc siedzących, a potem brakowało już i stojących.

Wydawałoby się, że to, co pokazuje Goretta, owa zbudowana na konstrukcji dość typowego melodramatu historia nieszczęśliwej miłości skromnej uczennicy z paryskiego zakładu fryzjerskiego do wywodzącego się z klasy posiadającej studenta humanistyki, pozbawiona „mocnych” scen łóżkowych, a za to szybująca gdzieś w regionach psychologii i moralistyki, że ta historia nie ma szans na podbicie dzisiejszej młodzieży. Okazało się coś zgoła przeciwnego.

Z „Koronczarką” jest trochę tak jak z kinową rewelacją sprzed dziewięciu lat: „Love story” amerykańskiego reżysera Arthura Hillera, kiedy to wbrew wszelkim przewidywaniom, hippiski głoszące chwałę „permissive society” i oddające się z całej duszy hasłom rewolucji obyczajowej, zalewały się jednocześnie rzewnymi łzami nad tym melodramatycznym kiczem opiewającym wzniosłą miłość pary bohaterów, którą przerwała okrutnie śmierć jednego z nich. „Love story” była dość prymitywną, ale jednak zarazem silną reakcją wewnętrzną samej młodzieży, nie zawsze reakcją w pełni uświadomioną, na konsumpcyjny rodzaj miłości, na brak w niej pierwiastka duchowego, nieobecność uczuć wyższych.

„Koronczarka” przyjmuje już, tak jak czyni to współczesna młodzież, fakt rewolucji obyczajowej, jako rzecz dokonaną, ale w oparciu o usankcjonowane już „zdobycze” owej rewolucji, przechodząc niejako ponad nimi do porządku dziennego - co wyraźnie rysuje się w filmie Goretty - zwraca się przede wszystkim w stronę penetrowania w relacjach między dwojgiem ludzi sfery uczuć wyższych: wrażliwości, subtelności, delikatności i szacunku dla partnera.

Recenzując „Koronczarkę” należałoby zwrócić uwagę na szereg innych myśli zawartych w tym filmie, i może nawet bardziej dla niego samego reprezentatywnych, jak choćby mocno zarysowany tam problem trudności przełamania granic kulturowych pomiędzy ludźmi. Ale to temat na odrębny felieton. My poprzestańmy tutaj na stwierdzeniu, że od pewnego czasu daje się coraz silniej zaobserwować wśród publiczności zapotrzebowanie na filmy, o jakie dotąd ani byśmy ją posądzali. Oby nasi dystrybutorzy nie załamali w pewnym momencie rąk ze zgrozy, że współczesna młodzieżowa publiczność nie chce oglądać na przykład filmów... Rogera Vadima, który, panie, jak skręci film o miłości, to ho, ho!

Pierwodruk: „Kamena, 1979, nr 9, s. 14.